

Kolejne fragmenty z mojego dzieciństwa, ściągnięte „Ze szkolnego pamiętnika” – to już ostatnie, jest ich tak dużo, że zanudziłbym was zamieszczając je tutaj.

(...) Moja kochana podstawówka, miło wspominam tę pierwszą moją szkołę, lepiej niż przedszkole, do którego siłą trzeba było mnie zaprowadzać. Dlaczego tak bardzo bałem się przedszkola? Nie wiem, chodzili tam przecież wszyscy moi znajomi z podwórka, a do niego miałem dosłownie dwadzieścia metrów, może nawet i bliżej. Było ono tuż przy naszym bloku, graniczyło z naszym podwórkiem, widziałem co robi moja mama, co robią sąsiedzi, nie powinien się bać... a było wręcz coś odwrotnego...

Co innego szkoła, do niej poszedłem bez żadnych obaw, żadnych lęków, byłem dumny, że idę, bo do szkoły chodzą ludzie dorośli, a takim właśnie chciałem być... (...) Do szkoły miałem blisko, dosłownie czterysta, metrów, a na skróty jeszcze bliżej. Wystarczyło przejść przez tory kolejowe, kawałek lasu i już było się na jej terenie. Budynek duży, dużo okien, dużo klas. Dużo uczniów... w klasie też dużo nas, sami znajomi, wiadomo, mój rocznik. Wychowawczyni znajoma, mieszka obok naszego bloku, znamy ją, a ona nas. Pani Jadwiga N. będzie prowadziła nas przez cały czas naszego pobytu w szkole, została naszą drugą „mamą”, drugim, ba, trzecim rodzicem. (...)

Sala lekcyjna duża, widna, przestronna, dużo ławek, w trzech rzędach. Każdy wybiera swoją, pani Jadwiga pozwala nam na to, dobieramy się parami, siadamy gdzie kto chce, gdzie kto może. Kto szybszy zajmuje lepsze miejsce, wszyscy chcą przy oknie, albo jak najbliżej tablicy. Dziwne, bo w szkole średniej, każdy uciekał do tyłu, tu była sytuacja odwrotna.

Siadamy, ławki wszystkie jednakowe, blat. ławka (czyli nasze krzesło), półka na książki, wszystko to połączone w jedną całość. Nawet wygodnie się siedzi... wyjmujemy książki, zeszyty. Na blacie rowki (włgłębienia) na pióro, ołówek, obok otwór z kałamarzem... pani od razu ostrzega nas przed tym urządzeniem, mamy obchodzić się z nim bardzo ostrożnie, dlaczego? Już wkrótce wiedzieliśmy wszyscy, dlaczego...

Z tornistrów wyjmujemy nasz największy skarb... jest nim... no zgadnijcie, co? Oczywiście piórnik... wiercie mi, to istny sklep papierniczy, nasz najbardziej pilnowany przedmiot, w nim wszystko czego potrzebuje uczeń, a więc: pióro, ołówek, gumka, stałówki, rediśówki, spinacze, żyłетки, pinezki, strugaczki i wiele innych rzeczy potrzebnych codziennie każdemu uczniowi.

Wszystkie te rzeczy mieszczą się w niewielkim pudełeczku, każdy pilnuje go jak żrenicy w oku. To są rzeczy, bez których nie może obejść się żaden uczeń, żadna uczennica. Zeszyty? Tylko kilka, im starsza klasa tym więcej ich przybywa, ale tak do czwartej klasy jest ich niewiele, najpierw cienkie w grubą linię, później coraz grubsze i w cieką linię. Wszystkie obłożone w kolorowy papier, książki też... nawet ładnie to wygląda... na zewnątrz. Gorzej jest gdy go otwieramy, oczywiście zeszyt, bazgroły, kleksy, niekiedy malutkie dziurki w kartkach od wycierania kleksów gumka. Żałośnie to wygląda, ale z każdym dniem, z każdym miesiącem jakoś się poprawia. Coraz mniej kleksów... coraz ładniejsze, staranniejsze pismo, literki w równych rzędach, dobrze, że zeszyty są cienkie, tylko szesnaście stron, szybko można je wyrzucić i zmienić na nowy. (...) Piszemy dużo, nauczycielki nie rozpieszczają nas, za byle co kara... dodatkowe pisanie, 20, 30, 50 razy trzeba ponownie pisać wyraz, a niekiedy całe zdanie. Koszmar, nie ma

jednak wyraźnej poprawy, przynajmniej u mnie. Nauczycielka bez przerwy strofuje mnie za nieudolne, koślawe pismo, coraz więcej uwag w dzienniczku, „pisze jak kura pazurem”, to stwierdzenie jest bardzo delikatne, bywają ostrzejsze wpisy, a za nie dodatkowa kara, którą już nie nakłada nauczycielka, a moja mama.

Znów ślęczenie nad zeszytem, pisanie, pisanie i pisanie. Pomaga? Nie... Zasmucony patrzę przez okno, chłopcy zbierają się do grania w palanta, coraz więcej dziewcząt, gwar rośnie, a to wszystko dzieje się pod moim oknem. Słyszę i widzę wszystko, mieszkam na parterze... ach, jak chętnie wyskoczyłbym przez to uchylone okno... wołają mnie, udaję, że nie słyszę... mama kręci się w kuchni... kiedy będzie miała drugą zmianę? Obliczam, jeszcze parę dni...

Nie udało się, chłopcy grali beze mnie, trudno... siła wyższa. Piszę lepiej, pani pochwaliła mnie, ale za parę dni znów to samo, kiedy ja nauczę się pisać starannie, bo błędów nie robię, tylko jakoś te literki wychodzą mi krzywo, wzrok mam dobry, linijki proste, a mimo to... „A”, „B” i inne wychodzą jakoś koślawo... nie mogli wymyśleć innych literek, łatwiejszych...(...)

W szkole też mamy kary, nawet większe jak w domu, często dostajemy linijką lub kijem po rękach, po dłoniach, nie ma komu się poskarżyć, oj człowieku, spróbuj powiedzieć matce, czy ojcu o tym... spróbuj, a dostaniesz następną porcję lania. I potrzebne ci to było?

Ciągnięcie za ucho było na porządku dziennym, cierpieli chłopcy, bo dziewczęta dostawały tylko po rękach, my tu i tu... skaranie Boskie z tym... do tego dochodziła kara główna, najgorsza... siedzenie w „kozie”. Tak nazywała się ta kara, siedziałeś zamknięty w klasie godzinę, dwie, samotnie, za byle co... (...)

LABA - CZAS WOLNY...

Wreszcie wolne, wreszcie mogę rzucić książki w kąt i przestać myśleć o szkole, o lekcjach, o nauczycielach... Wakacje... wreszcie... uff... wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, wszyscy szykujemy się do wyjazdów... ale gdzie, z kim, kiedy...(...)

Na dworcu – nawet ładnym, nie zniszczonym jak inne, oczekiwał na nas dziadek, ojciec mojej mamy, z zaprzęgiem konnym. Oczywiście w lotrach przygotowane dla nas siedzenia (wiązka słomy, przykryta płachtą), na których mieliśmy odbyć kilkukilometrową podróż do domu. Trzęsło nami niesamowicie, koła z obręczą żelazną nie pozwalały nam na komfortową jazdę, ale nie narzekałem, no bo i co na to poradzę? No co? Dobrze, że choć mieliśmy i taki pojazd.

(...) Nieliczni koledzy czekali już na mnie z utęsknieniem, stanowiłem dla nich niejako nową rozrywkę, byłem dla nich oknem na świat... Lata pięćdziesiąte, nie ma radia, nie ma światła... do sklepu parę kilometrów, nie ma nic, nie ma nikogo, zawsze te same twarze... a tu wreszcie pojawia się nowa twarz, nowy człowiek, będą nowe wiadomości, będą prezenty... skromne bo skromne, ale będą. Będzie wreszcie jakaś odmiana. Życie nabierze od tego momentu nowych rumieńców, czas ruszy naprzód, życie potoczy się wartkim strumieniem, a to za sprawką jednego malutkiego człowieczka. A tym człowieczkiem będzie nie kto inny, jak właśnie ja ... Tadeusz. (...) Dwa tygodnie szybko minęły, koledzy przyjechali, toteż ja nie czekając na nic, udałem się do Jasic (znów pociągami), a stamtąd do Wojciechowie, gdzie mieszkał Jerzyk i Zbyszek. (...) Mieliśmy spędzić razem dwa, trzy tygodnie, czy wytrzymamy tyle? Dziadkowie Jerzyka mieli małe gospodarstwo, utrzymywali się nie z roli, ale z kowalstwa, mieli swoją kuźnię, w której dziadek Jerzyka codziennie pracował. Był to już starszy człowiek, spracowany, schorowany, ale

jeszcze mogący i potrafiący utrzymać ciężki kowalski młot. Pomagaliśmy mu jak tylko umieliśmy i na ile wystarczało nam siły. Miechy chodziły bez przerwy, ogień buchał z paleniska, a ja , albo Jerzyk staliśmy przy kowadle z małym młotkiem i razem z dziadkiem kuliśmy żelazo... Oczywiście nie my, my tylko uderzaliśmy małym młotkiem w kowadło do taktu, do rytmu... wspaniała była ta kowalska muzyka, jej echo roznosiło się po całej wiosce... wysoki ton... niski ton. Długo dźwięczała nam w uszach ta muzyka, muzyka, do której nie było nut, nie było partytury.

Dziadek kowal, zawsze dawał nam parę złotych za pomoc w kuźni, mieliśmy na swoje potrzeby, ale znowu jakie tam potrzeby... mieliśmy na papierosy i na najtańsze wino, na zwykły „jabcok”. Później do późna w nocy siedzieliśmy nad niewielką rzeczką tuż przy strażackiej remizie i popalając sobie, opowiadaliśmy nasze dzieje... oczywiście szklaneczka winka zawsze nam towarzyszyła. Proszę mnie jednak źle nie zrozumieć, nie piliśmy na umór, nie paliliśmy jak dorośli, paliliśmy ot tak, bez zaciągania się... czuliśmy się dorosłymi, chcieliśmy wszystkiego spróbować, wszystkiego skosztować, a to co było zakazane smakowało nam wyśmienicie. (...) Pewnego razu siedzieliśmy sobie nad naszą rzeczką, rozmawialiśmy pociągając od czasu do czasu z butelki (nie mieliśmy szklanki), gdy naraz usłyszeliśmy znajomy głos w pobliżu, tuż przy nas... wpadliśmy w panikę, bo był to ojciec Jerzyka i Zbyszka... Co robić, gdzie się schować, czy widział nas pijących, co i ile słyszał... oj, co teraz będzie. Był to dobry człowiek, ale... spodziewaliśmy się lania, ja również, upuszczona butelka na ziemię... wylewa się z niej wino, chowamy za koszulę papierosy... nie znajdzie, nie poczuje od nas zapachu wina... a niech to, kiedy on przyjechał?

Nagle w pobliżu rozległ się donośny, przeraźliwy krzyk. „Pali się... pali się”, skoczyliśmy na równe nogi, wybiegliśmy na mostek, w oddali zobaczyliśmy potężną łunę. (...) Szybko podbiegamy do remizy i zaczynamy bić w dzwony, zbiegają się ludzie, strażacy, otwierają remizę... wspólnie wyciągamy węże, beczkowóz... Samochodu nie ma, wioska jeszcze się go nie dorobiła, przyprowadzili konie, zaczepiają beczkowóz. Nagle słyszymy szum silnika samochodowego, w naszym kierunku jedzie samochód ciężarowy, to sąsiad, który go posiada jedzie nam pomóc. Szybko ładujemy tylko węże i z trąbiącą syreną, ruszamy do pożaru. Jest nas kilku...

(...) Pierwszy raz wodzę pożar, pali się stodoła, jest już zawodowa straż, rozkładają węże, my swoje też... strażacy odsuwają nas od ognia... leją wodę, ale na pobliskie budynki, patrzę na to zdziwiony... ogień szaleje, opodal płacze kobieta, słysząc krzyki małych dzieci... dlaczego nie gaszą stodoły, dlaczego? (...) Mdleją nam ręce od trzymania i podciągania węży, motopompa huczy na wysokich obrotach, tłocząc kolejne litry wody z basenu przeciwpożarowego. (...) Słyszę podziękowania dla strażaków, za ocalenie pozostałych domów, teraz dopiero dowiaduję się dlaczego strażacy polewali sąsiadujące domy... nawet o tym nie wiedziałem... Jak to człowieka życie uczy, ile trzeba przejść, ile trzeba doświadczyć różnych sytuacji, aby zrozumieć sens i istotę swojego bytu. Taka szkoła potrzebna jest każdemu, żaden podręcznik nie nauczy nas tego, co nauczy nas życie... niekiedy bardzo ciężko doświadczamy tego, co możemy i powinniśmy unikać...

SPORT DYSCYPLINY SPORTOWE.

(...) Mieliśmy II-ligową drużynę, która ostro zaczęła pukać do drzwi I-ligi i niebawem się tam znalazła. Wielka euforia w mieście, wszyscy zaczęli interesować się boksem, ba dziesiątki chłopców zaczęło uprawiać tę dyscyplinę sportu, a wśród nich i ja. (...) Trenował nas, nie kto inny, jak Tomasz Konarzewski, bokser z ekipy naszego nieodżałowanego Feliksa Sztamma, były reprezentant Polski, uczestnik Mistrzostw Europy, o ile dobrze pamiętam, to w Helsinkach. Ten pan, wysoki, postawny, trenował zarówno pierwszą drużynę, jak i nas, którzy zapragnęli poznać tajniki bokserskiej szermierki. (...)Trenowałem w

grupie z zawodnikami I-ligowej „Stali”, oraz jej bezpośrednim zapleczem. (...) Były to wspaniałe treningi, często je wspominam, bo trudno zapomnieć takich ówczesnych zawodników naszej stalówki jak: Romaniszyn, Przyłucki, Tuczański, Wiatrzyk, Algiert, Gawlas Serwan, Konarzewski (syn trenera), a w późniejszym okresie Szado czy Lucjan Trela. (...) Zawody odbyły się w Jarosławiu, albo w Sanoku, ale bardziej prawdopodobny jest Sanok. Sala nieduża, ale wypełniona po brzegi miejscowymi kibicami, którzy przyszli oglądać nasz pierwszy krok bokserski. (...) Po rozgrzewce w szatni, wychodzę na salę z moim sekundantem, spoglądam na mojego przeciwnika, niczego sobie, taki sam jak ja. To dobrze. Trener coś mi mówi do ucha, ale przez ten cholerny kask słabo słyszę, znów mam go niedopasowanego, swojego nie przywieźliśmy, mamy go od organizatorów. Kiwam jednak głową, jakbym wszystko wiedział, a ja prawdę mówiąc, nie wiem co on do mnie mówił. Wchodzę na ring... jestem trochę oszołomiony, nie patrzę na salę, spojrziałem tylko na sędziego i odwróciłem się do trenera. Masuje mi mój nos i łuki brwiowe, znów coś mówi, słyszę, ale nie odpowiadam... witam się z przeciwnikiem, jest mniejszy i chyba...

Gong... tańczę przed moim rywalem, zmuszam go do przyjęcia mojego stylu, wyprowadzam dużo ciosów prostych, ale mało ich dochodzi do przeciwnika, wyłapuje wszystko na ręce, rękawice... jestem cały czas w natarciu, zmuszam przeciwnika do ciągłego cofania się, takie były nasze założenia przed walką. Boksujemy po dwie minuty przez trzy rundy, Wytrzymam, z kondycją u mnie dobrze, znów jestem w natarciu, to druga runda. Przyspieszam, bardzo przyspieszam, jestem ciągle przy przeciwniku, moje ciosy zaczynają dochodzić do celu... sędzia często przerywa walkę, przeciwnik przytrzymuje, a ja ciągle idę do przodu. Sędzia zwraca mi uwagę, że mam po jego komendzie zrobić krok do tyłu, nie stosuję tego, znów uwaga... ale ja chce być bliżej i bliżej przeciwnika... Zwiertżyłem szansę na wygranie tego pojedynku, znów zadaję mnóstwo ciosów, nie są one mocne, ale swoje robią... przeciwnik gubi się, sędzia znów nas rozdziela, sekundant coś krzyczy do mnie... wreszcie gong. Minuta odpoczynku... woda z gąbki oblewa moją spoconą twarz, czuję się jednak dobrze... wyciera mnie, klepie po plecach i wysyła do boju, do ostatniej rundy. Dostoczyłem do mojego rywala natychmiast po gongu, nie spodziewał się tego, nie zdążył się zasłonić, dwa celne ciosy zatrzęsły jego ciałem... stop... słyszę głos sędziego. Tym razem odstepuję od przeciwnika... idę do neutralnego narożnika, sędzia liczy... wreszcie rozkłada ręce i odprowadza mojego przeciwnika do jego narożnika. Koniec walki... koniec pojedynku. Zwycięstwo, zwycięstwo przed czasem, zrobiłem mój pierwszy zwycięski krok, czy będą następne? (...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

oldakowski2013, dodano 24.12.2018 23:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.